**TOMAS VENCLOVA – wybór wierszy**

**\*\*\***

**BITWA AZOWSKA**

Bądź pozdrowiona, nieledwie zapomniana bogini Historii,

wraz ze świtą odłamków i trupów zabitych żołnierzy!

Jeszcześ tu nieobecna, lecz już mogą cię rozpoznać nieszczęśnicy

w chrzęście gąsienic, w warkocie śmigłowców sponad granicy.

Z czasem do twoich rządów się przywyka. Ale wpierw –

dziury w piersiach blokowisk, pokoty nadmorskich drzew,

ostrzał stacji węzłowych, pantomima w szerokim stepie,

gdzie w lepkim czarnoziemie ugrzązł Piotr, wyklinając Mazepę.

Śmierć jeszcze jest młoda. Potrzeba jej czasu i wprawy.

Wciąż terminuje, próbuje. Mierzy zwolna, jak dla zabawy,

dość długo nikomu nie szkodząc. Z ciałem wita się łuska

dopiero za piątym razem. Potem już tylko pustka.

W przejrzystym powietrzu blade bruzdy rzeźbią drony.

Wzdłuż płotu, za młodym wartownikiem podąża skulony

znacznie starszy mężczyzna – co z tego, że jest cywilem –

i obu ostatnie metry dłużą się niczym mile.

Sterta buszłatów nabrzmiewa, przelewa się po zwaliskach

z miejsca na miejsce. Satelita, zawieszony w przestworzach,

beznamiętnie rejestruje ten widok. Dalej przebita cysterna.

Zajętych już dziesięć kwartałów. *Gloria nostra aeterna*.

Jakże daleko stąd są zbawienne dworce i mosty!

Przed oczami jedynie – naszych czy wrogów? – blokposty;

nikt nie wie, czy puszczą, czy strzelą. A maruderom

zostały kurczaki w sieniach, kozy w obejściach, spojrzenia

biegnące do Trościanki, Merefy, Irpienia, których nie ma co

poszukiwać na mapie, tak jak dziurawych dachów, które migocą

pośród burzanów, gdzie słodkawy odór wciska się w gardła,

a dzieciaki uczą się mówić: „głodować”, „karabin” i „zdrajca”.

Na piaszczystym brzegu linię odpływu przecina kula, nie mewa,

za roztrzaskanym oknem, w lustrze odbity płat czystego nieba –

będą weń patrzeć z lękiem najmłodsi, co urodzili się w schronie,

widząc w nim nie przybytek Boga, lecz atomowe zagrożenie.

Plama zakrzepłej krwi. Wybuchów i strzałów orkiestra.

Jak wiadomo, każde Termopile mają swego Efialtesa.

Pożegnaj się z nimi – odejdziesz w chwale lub z hańbą.

Drogi odcięte, a Medowie i tak ostatecznie przejdą.

Cóż więcej, bogini Historii, jak wojna – to wojna.

Promenada obcego miasta żarem słońca hojna

i student, wzrok oderwawszy od gorejącej szarzyzny,

powtarza starą linijkę: „Jakże słodko nienawidzić ojczyzny”,

a żołnierz – towarzysz broni zapomni jego imienia –

łapie ostatni haust tlenu w labiryncie płomieni.

Usta są już bezgłośne, lecz słyszą kamień i beton

ostre i twarde słowo, które wrogom rzucił Cambronne.

tłum. Beata Kalęba

Wiersz z tomu: Tomas Venclova, *Obrócone w ciszę. Wiersze wybrane*. Oprac. Beata Kalęba, Warszawa, Zeszyty Literackie, 2017.

**TOMAS VENCLOVA**

**\*\*\***

Czas na wytchnienie nie był długi, lecz

nam się zdawało, że po tylu biedach

już się nie skończy. Przyjaciele wiersz

deklamowali, ucztując w ogrodach,

w budynkach szkoły kwitł mądrości duch,

białe arkady niosły fletu tony,

rano na placach wśród handlarzy ruch,

wonne przyprawy wiozły galeony.

Na piękno mozaik nie mieliśmy słów,

kusił nas owoc od nektaru lepki,

lecz wyśmiani szaleni wieszcze znów,

nie pierwszy przecież raz, wiedzieli lepiej.

Od szczęku stali cały pokój drży,

czernieją nieba i morza się burzą.

Zdmuchnij świece i dobrze zamknij drzwi.

Tuż za nimi są — Kaligula z dżumą.

tłum. Beata Kalęba

Wiersz z tomu: Tomas Venclova, *Obrócone w ciszę. Wiersze wybrane*. Oprac. Beata Kalęba, Warszawa, Zeszyty Literackie, 2017. **TOMAS VENCLOVA**

**PREHISTORIA**

I  
Poznawaj niegościnne miejsca, gdzie rosłeś swego czasu —  
w innym kraju, w środku innego wieku. Jałowe pasmo  
wydm, zarośla iwiny, przy brzegu ceglany mur hali  
raczej nie przywodzą na pamięć tych, którzy tu wtedy mieszkali.   
 Po ulicach kręciły się trzy dorożki i taxi jedyne,  
oranżada kapała na ścieżki parku. Niemieckie dziewczyny  
w alei opodal koszar od wpół do czwartej się zbierały,  
nachylając się do wózka, mówiły *Süsses Kind*, wzdychały  
do imperialnych herbów, deptały żółty piasek, podniecone  
biły brawo cieniowi na staromiejskim balkonie,  
żeby potem ich fryzury, kapelusiki, pierścionki w niebieską   
wodę laguny pogrążył triumfator Marinesko.

II  
To nie jest pełny obraz. O wiele ważniejsze jest niebo,  
patrzące mu w twarz zimne fale południa wietrznego,  
trąbki, czapy bocianich gniazd i nie nazbyt obficie  
rozrzucone nad brzegami kanału kępy niskich rokicin.  
Roznosi się zapach fląder, wiatr kołysze wysłużony  
jacht przy pomoście. Widzę: pedagog, klucz ściskając w dłoni,   
wraca z Czerwonego Krzyża do domu, żeby trochę się wyspać,  
i bez szczególnej radości ocenia tymczasową przystań:  
bielizna schnie na poddaszu, łomoczą okiennice,  
sypie się tynk (na kołyskę?), półki gną się pod Marksem, a dzielnica   
za rzeką Dane plamkami kratownicy się mieni  
monotonnie, jak echo powtarzające się do znudzenia.

III  
Dźwięk podków. W kredensie odzywają się łyżki i naczynia.   
Oko w pobliżu portu wypatruje niewysoką świątynię   
anglikańską. Dach — do pokrywki rondelka podobny,   
dalej prawie nic nie ma. Granicą albo progiem Europy —   
jest to płaskie przymorze, te mokradła, które od stuleci   
użyźnili swoimi kośćmi Prusowie, Liwowie, Wenedzi.   
Katalogi przeszłości: *nach Osten*, *Westen*, gehenna ucieczki,   
zatopione statki, niemiłosierne ciśnienie morza na beczki  
z gazem musztardowym. Nie sposób się oprzeć nurtowi.   
Echo klaska wybuchami w głuchej, zarosłej trawą warowni.   
Tak wyraźne odbicie migocze w porannym chłodzie  
pod łodzią zastygłą, wyraźniejsze od samej łodzi,

IV  
tak głęboki, lecz ledwie rozpoznany głos we śnie, powtórzywszy  
nic nieznaczący dźwięk, mówi więcej niż wszyscy  
dzienni rozmówcy. O świat już nieistniejący  
nigdy nieśpiąca nimfa Echo się troszczy.  
Nad zaginionym rodzinnym miastem, od Skagerraku do samych   
botnickich szkier, od cypla Grobsztas zasnutego mgłami  
po bielejący Kopgalis, niczym trąba sądna,  
płynie rytm wyczuwalny, który ktoś pcha dalej od nas.  
On obudzi w ciemności, odprowadza do domu z niewoli,  
żebyś był wdzięczny za wszystko — nawet wtedy, kiedy czas, powoli,   
niczym doświadczony cenzor, twoją sylwetkę i gesty  
bez śladu zeskrobie ze strony, fotografii, tekstu.

(2007)

tłum. Zbigniew Dmitroca

Wiersz z tomu: Tomas Venclova, *Obrócone w ciszę. Wiersze wybrane*. Oprac. Beata Kalęba, Warszawa, Zeszyty Literackie, 2017.

**TOMAS VENCLOVA**

**PIERWSZY KRĄG**

O wpół do ósmej  
przebudzony plac robi się jasny,  
cień chmury i słońce  
bawią się w berka na bruku ulicy,  
zmieniając go w mapę  
bytu i niebytu, krzesła  
w sąsiedniej kawiarni jeszcze są postawione   
jedno na drugim jak Pelion na Ossie,  
gołębie koloru łupku  
kreślą kręgi pomiędzy arkadami i maszkaronami,   
nie dolatując do wież, zwieńczonych  
tiarą i czepcem  
(nieco dalej, jak zgubiona  
czapeczka, sterczy maleńki kościół).  
Żagle parasoli, port handlowy.  
Posąg, wygięty jak język pożaru.

O wpół do ósmej  
kamienie dźwięczą jak kości do gry,  
szeleszczą akacje, skrzydło  
rozmawia z wiatrem po łacinie  
i zwycięska kropla  
uderza o sprężystą powierzchnię  
fontanny. Od czasu do czasu słychać  
pstryk aparatu, obok się odzywa  
telefon komórkowy, w obwieszonej sali  
z planami miast zeszłego wieku  
(wieże, dworce, budynki władzy).  
Opony roweru próbują pokonać krągłość placu,   
dojrzewa długi, bez interpunkcji,   
monolog dzwonu.

Szczodrość zimnego powietrza.  
Rację mają tylko lustra — zwłaszcza gdy w nich  
nic się nie odbija. Najwyżej kilka linijek do góry nogami   
 (zamach na pustyni, kryzys w sprawie zakładników,   
jeszcze jedno tajne przedsięwzięcie,  
dyktator kocha futbol, zabroniony jego poddanym),  
ale wystarczy przewrócić kartkę i to wszystko zniknie.

O wpół do ósmej,  
w najspokojniejszym kręgu spośród nam przeznaczonych,   
nad wilgotnymi stolikami skrzypią parasole,  
promień słońca pod drzewem pada  
na broszkę i naszyjnik,  
ciężar cukru przygniata  
piegowaty kopiec cappuccino,  
palce dotykają serwetki, terpentyna  
więźnie w rynsztunku tuj,  
czas rośnie — wyobcowując się i ciążąc,  
stając się sobą bez naszej  
woli i wiedzy. Ciemna wskazówka  
przelicza kreski tarczy zegarowej.  
Maleńka orkiestra  
jeszcze gra na chylącym się pokładzie.

(2004)

tłum. Zbigniew Dmitroca

Wiersz z tomu: Tomas Venclova, *Obrócone w ciszę. Wiersze wybrane*. Oprac. Beata Kalęba, Warszawa, Zeszyty Literackie, 2017.